№ 44.

Warszawa, dnia 31 Października 1863 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

USTĘP

Z ŻYCIA

ELŻBIETY DRUŻBACKIEJ.

Było to w przeddzień S. Teressy i Jadwigi, dnia 14 Października roku pańskiego 1705, gdy liczne karoce i kolaski z jezdnemi po większéj części orszakami, ciągnęły różnemi drogami do zamku w Brzeżanach, rezydencji J. W. kasztelanowéj krakowskiéj, Jadwigi Sieniawskiéj, która w dniu tym święto swego imienia obchodziła. Zjeżdżający się goście należeli nie tylko do dygnitarji okolicznéj i całego województwa, ale z odległego tylko o dziesięć mil Lwowa i z dalszego Krakowa, ba! nawet z Warszawy i innych stron Polski przybywali z należnym dla czcigodnéj Solenizantki respektem szlachta karmazynowa i różni rzeczypospolitéj dostojnicy, bo ród Sieniawskich z najwyższemi całego kraju szeroko był skoligacony, a świeże jeszcze zasługi ś. p. wielkiego hetmana Mikołaja Hieronima, jednego ze zwycięzców z pod Wiednia, zacności tego domu nowego dodawały blasku.

Dojeżdżających do miasta Brzeżan silnie jeszcze podówczas warownego, przyjmowała oznakami najgłębszéj attencji, służba dworska J.W. pani, rozprowadzając wysokich gości na rozmaite przeznaczone dla nich kwatery; zjazd bowiem w dniu tym bywał tak liczny, że zamek Brzeżański, lubo niepospolicie obszerny, nie wystarczał na pomieszczenie tylu rodzin, i że nie tylko już officjaliści dworscy, ale co zamożniejsi nawet mieszczanie, chętnie odstępywali na te dni kilka większéj części swych mieszkań, które w zamian za tę uprzejmość odbierali całkowicie odnowione, byleby tylko gościom uwielbianéj przez wszystkich dziedziczki należyte ile możności zapewnić wygody. W tym zaś roku względ ten musiał być zachowany tém bardziéj, ile że w święto J.W. Kasztelanowéj bytność swą zapowiedział nowy król Polski i wielki książe Litewski, były wojewoda poznański, Stanisław Leszczyński.

Starożytny zamek Sieniawski, którego przepychy i dostatki każdéj chwili na przyjęcie królewskie zdawały się być przygotowane, niczém zresztą na zewnątrz nie okazywał jeszcze tego ruchu, który wkrótce miał w nim zawrzéć. Wznosił się on na rozległéj równinie, tuż obok poważnéj fary, oblany wkoło rzeczką *złotą Lepą*, dzielącą sie tu na dwa koryta. Otoczony wałami, miał tylko jedno wejście przez most żelazny, zwodzony na łańcuchach, a opatrzony był strzelnicami do dział i ręcznéj broni. Nad bramą znajdował się napis z herbami polskiemi i litewskiemi, u spodu zaś herb Sieniawskich. Tu dniem i nocą straż zbrojna, dziś świątecznie przybrana, pilnowała przystępu do wałów i murów, a gdy zmrok wieczorny zapadał, rozstawione co kilkadziesiąt kroków czaty, zawiadamiały się bezustanném wołaniem o bacznéj swojéj czujności. Dla mieszkańców zamku, gdy w długie, zimowe wieczory, zgromadzeni w ulubionej kasztelana komnacie basztowéj, poważną o wielkich sprawach krajowych zajęci byli rozmową, jednotonne te i przeciągłe okrzyki miały zawsze coś dziwnie uroczystego i nieraz pani zamku, któréj szlachetne dla ludu współczucie na całą okolicę weszło było w przysłowie, na odgłos ten, wsparta na ramieniu którego ze starszych swych dworzan, wysuwała się na zewnętrzny krużganek, by wierne swoje straże hojnym obdarzyć upominkiem i stokroć jeszcze milszém dla nich łaskawém słowem uznania.

Już powoli zamek napełniał się gośćmi, a najcudniejszą perspektywę przedstawiała wielka sala *Wiedeńska*, zdobna pysznym utworem mistrza szkoły weneckiéj, wyobrażającym całą bitwę pod Wiedniem, na którym wszystkie figury kolosalnéj były wielkości, oblana strumieniami światła, które spływały z bogato złoconych kandelabrów i z upstrzonych tysiącznemi kryształami pająków. Obicia z ciężkiéj adamaszkowéj materji, poważne surowym stylem sprzęty, dziwnie odbijały od ruchliwéj i dorodnéj młodzieży, która dworskim zwyczajem uwijała się pomiędzy damami, ugruppowanemi w rozliczne drobne grona; dziwniéj jeszcze odbijały od samych niewiast, których wykwintne ubrania, jaśniejące młodością i wdziękiem twarze, były jakby wymowną protestacją przeciw wiekowym wspomnieniom tego zamku. Sama tylko pani krakowska nie kontrastowała z powagą otoczenia. Majestatyczna jéj postać, lubo brzemieniem lat bynajmniéj nie przygarbiona, utraciła już ową grację i pełną w ruchach okrągłość, któremi znamionuje się wdzięk młodéj białogłowy, srebrne pukle z pod śnieżnego korneta okalały twarz jéj, niemal równie śnieżnéj białości; ale rysy téj twarzy zachowały jeszcze niewypowiedziany ów urok, którym tak często jaśnieją podeszłe w kraju naszym matrony, urok chwytający za serce więcéj nieraz od świeżych róż na licach młodości, urok rozważnéj dobrotliwości, chrześcjańskiéj rezygnacji, chętnego poświęcenia. Strój jéj, odkąd owdowiała, stale był czarny i w żadną największą uroczystość, prócz niego i bieli, żadnych innych na sobie nie znosiła; ale w żałobnéj téj szacie słodyczą swego uśmiechu rada młodszym dodawała odwagi do wesołości, a przymiotami i ukształceniem umysłu, niemniéj jak zaletami serca odznaczona, w giętkiéj dworskiéj szermierce i w rozmowie z najprostszym ze swych poddanych, zawsze trafiać umiała w tajemnicze owo tętno, na którém odzywa się najwewnętrzniejszy odgłos duszy człowieczéj, i które rozwiązując nam usta do pełnéj uszanowania poufałości, każe zapomniéć o przewadze duchowéj i światowéj naszego interlokutora i przez chwilę wprawia w słodkie marzenie zupełnéj równości i swobody.

Kasztelanowa siedząc na wykwintnym dywanie, na wprost głównych drzwi wchodowych salonu, przyjmowała wdzięcznym słowem życzenia i komplimenta, z jakiemi przystępowali do niéj przybywający bez przerwy goście. Damy następnie, to siadały w większém kole po obu stronach pani zamku, to znów, młodsze szczególnie, rozpraszały się w kółka drobniejsze, którym towarzyszyły zwykle żwawe poczty dziarskiéj młodzieży. Opodal od solenizantki, gotowe na każde jéj skinienie, lubo także otoczone rojem młodéj szlachty okolicznéj, stały trzy dorodne dziewice, wychowanice J.W. pani krakowskiéj, które ona po matkach sieroty, do siebie przygarnęła i którym, równie jak licznym ich poprzedniczkom, wiernie i z kochającém sercem matkowała. Dwie z nich starsze, JPanny Urszula Rosińska i Rozalia Tyminiecka, wesołe trzpiotki, ochoczo odcinały się dowcipnym, zawsze jednak pełnym przyzwoitości konceptom assystującéj młodzieży; trzecia najmłodsza JPanna Elżbieta Kowalska, widocznie myślą nie brała udziału w rozmowie, i podczas gdy jéj towarzyszki, to na wpół tylko przytłumianym wybuchały śmiechem, to przeciwiając się któremu z paniczów, z nienacka dojmującém drażniły go słówkiem, ona oparta o framugę, wzrok swój stale miała w okno utkwiony, jak gdyby oko jéj przeniknąć chciało ciemności wieczorne i dojrzéć z daleka tego, którego zapowiedziane przybycie, w gorączkowe wprawiało ją usposobienie.

Elżbieta Kowalska (a nie chcąc Czytelniczek naszych w zbyt długiém trzymać zawieszeniu, zaraz z góry powiemy, że to była ta sama, którą pod

nazwiskiem Drużbackiéj, cały kraj następnie i poznał i pokochał), Elżbieta Kowalska w samej rzeczy niepospolitém wsród takiego zebrania była zjawiskiem i ktokolwiekby się uważniéj w nią wpatrywał, ten poznałby snadnie, że młoda ta dusza, wyćwiczona już w szkole ziemskich cierpień, na wpół zdołała się otrząść z towarzyszącego im kału i zbliżona do Nieba, jaśniéj od innych czytać umiała w jego zamiarach i wyrokach. Kibić jéj gibka i kształtna, uwydatniona jeszcze, lubo całkiem bezmyślnie, skromnym aż do mieszczańskiéj prostoty strojem, już zdawała się unosić ją po nad ten obszar cięžkiéj niedoli; rzekłbyś, że brakło jéj tylko skrzydeł, by stanąć od razu w rzędzie aniołów. Rysy jéj twarzy nie olśniewały wprawdzie regularną pięknością, która od razu korne oczy podbija: przyciągały one do siebie wcale czém innėm, jak marmurową linią greckiego nosa, alabastrowém czołem, koralowemi ustami. W oczach Elżbiety, barwy błękitu niebios w piękne południe jesienne tlił się łagodny ogień niebiański, oświecający wszystko, co go otacza, promieniem swéj życzliwości; czułeś, że w tych oczach fałsz i podstęp nigdy nie znalazłyby dla siebie wyrazu, ale czułeś zarazem, że na ich widok przejmuje twą duszę rzewny ów smutek, który w najobojętniejszéj pozornie chwili w nich się żarzył i który już w części innego lepszego świata bywa udziałem. Krucze włosy, skromnie plecione, okalały tę twarz szlachetną, przez któréj płeć białą i przezroczystą przebijał się miejscami blady rumieniec, który za każdym razem ciemniejsze przybierał barwy, ilekroć dziewiczą jéj skromność, a raczéj bojaźliwość dotknęło znienacka jakie słowo, przez którego z rozmawiających z jéj rowieśniczkami młodzianów bezpośrednio do niéj zwrócone.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Istniejący tu Instytut *Notre dame des Arts* przypomniał się niedawno Paryżowi świetnym wieczorem dramatyczno-muzycznym, urządzonym na jego dochód przez wszelkiego rodzaju znakomitości stolicy. Instytut ten jest domem przytułku i wychowania dla córek artystów, literatów i uczonych, zmarłych bez majątku, a założyła go i rządzi nim zacna pani d'Anglars de Bassigniac, należąca do staréj szlachty francuzkiéj, która zrzekłszy się wszelkich widoków osobistych, cały znaczny swój majątek poświęciła na urzeczywistnienie tego pięknego pomysłu. Najprzód założyła rzeczony instytut w dobrach swych Querey. a skoro tam zgorzał zbudowany na ten cel pałac, przeniosła zakład do Paryża na ulicę Rocher, gdzie dziś każdy może go zwiedzić, oraz podziwiać wzorowy porządek administracji i troskliwość, z jaką fundatorka czuwa nad wychowaniem pięćdziesięciu panien, poruczonych jéj pieczy. Stosownie do zdolności i usposobienia pobierają one nauki od najznakomitszych tutejszych artystów, którzy bezpłatnie pomagają pani d'Anglars w szlachetném jéj zadaniu. Muzyka, malarstwo, rzeźba i sztuka dramatyczna są głównemi przedmiotami nauki. Wychowanice kształcone w zakładzie pani d'Anglars, wychodzą od niéj do Konserwatorjum muzycznego i do rządowéj szkoły dramatycznéj, gdzie ukończywszy nauki, znajdują zaszczytne pomieszczenie, a często pięknym swym talentem słyną nawet po za granicami Francji. Ale żeby instytut tego rodzaju odpowiadał celowi i pożądane wydawał owoce, potrzeba funduszów większych nad dochód z jednego, choćby milionowego majątku; fundatorka uzyskała dlań przeto opiekę bogaczy i sztukmistrzów, których talent, dopóki tylko w ludziach istnieć będzię choćby iskierka poczucia piękności dostarczy hojnie złota potrzebnego na przysposobienie światu nowych artystów.

Dowiedziawszy się dopiero dość późno o wspomnionym wieczorze, nie bez trudności zdołałem wystarać się o bilet, albowiem urządzający tę zabawę nie chcieli być tak niesumiennemi, iżby wpuszczaniem publiczności bez liczby, zepsuć wszelką przyjemność tym wszystkim, którzy kilkogodzinnego pobytu w łaźni nie mogą uważać za czas zbyt mile spędzony. Dzięki wszakże uczynności zacnego i utalentowanego naszego ziomka, malarza S., starania moje pomyślny otrzymały skutek i o godzinie 9 wieczorem udałem się wraz z nim do obszernego pałacu pana Gudin, jednego z bogatych dylettantów paryzkich, który z godną uznania abnegacją na dni parę zrzekł się zupełnie do swéj posiadłości wszelkiego prawa.

Ulicą, przy któréj leży ten pałac, ciągnęły się dwoma szeregami eleganckie pojazdy, zwożące bez przerwy postrojone damy, zwabione programem zapowiadającym pyszny koncert arcykapłanów muzyki i nową komedję Alexandra Dumas'a I-go. Prześliczna noc sprzyjała zabawie. Towarzystwo zgromadziło się w ogrodzie illuminowanym kolorowemi lampami. Salony dolne, wychodzące na ogród, były oświecone nowym sposobem: po białych stjukowych ścianach i sufitach, aparat gazu ułożony w bogate arabeski, wplecione sztucznie pomiędzy płaskorzeźby zrobione ze świeżych ró-

żnokolorowych, dobieranych w cienie kamelji, przedstawiał oczom ognistą Alhambrę niewypowiedzianego przepychu i smaku. Sprowadzone z cieplarni wielkie drzewa pomarańczowe, osypane kwiatem, ustawione sztucznie z doniczek klomby z heliotropów, róż i rezedy, białe jaśminy azorskie i blade bzy perskie, rozstawione na takichże fioletowych trawnikach z fijołków parmeńskich, czyniły z tego miejsca coś czarownego; przenosiły w raj całkiem wiosenny, jakby w jakąś wonną oazę, wyrwaną z siódmego nieba wschodniéj fantazji.

Wśród takich dekoracji rozpoczął się koncert utworzony z równie wykwintnych tonów, jak kolory z których ogród był złożony.

Najprzód ukryta w lasku z oleandrów orkiestra opery włoskiéj, wykonała *Concertino* Berrot'a; potém genialna Patti, umyślnie na tę uroczystość na dni parę z Wiednia przybyła, wraz z śpiewakiem-hrabią i hrabią śpiewakiem, słynnym Mario, odśpiewali duet z *Włoszki w Algierze*; potém Patti śpiewała cavatinę z *Ernaniego*, następnie wykonano *solo* na arfie i *Tarantellę* Schimona.

Drugą część składały: *Aria Niobe* Paciniego, wykonana znakomicie przez panią Alboni; sonata Mozarta; duet z *Cyrulika*, niezrównanie przez Alboni i Mario odśpiewany; cavatina z *Belli* przez panią Patti; śpiewy narodowe węgierskie i polskie, nakoniec duet hiszpański, *El vestido Azul*.

Po koncercie publiczność przeniosła się do zaimprowizowanéj w ogrodzie sceny, na któréj trupa teatru Gymnase, z podwojonym talentem odegrała niedrukowaną dotąd, a napisaną umyślnie na tę uroczystość i przysłaną z Neapolu jednoaktową komedję starego Dumasa. Komedja ta delikatna satyra na Anglików, i któréj, gdyby mi miejsca nie zabrakło, chętnie główne podałbym Wam tu zarysy, napisaną jest z ową swobodną elegancją i werwą Dumasowską, na którą daremnie się silą liczni jego naśladowcy. Zakończyła ona godnie tę piękną zabawę, którą zjeżdżające się już ze wsi i z wód wykwintne towarzystwo Paryzkie, w sposób dla dobroczynnéj instytucji nader korzystny, po kilkomiesięcznéj nieobecności przywitało stolicę. Zabawa ta przyniosła zakładowi *Notre-Dame des Arts* 25,000 franków czystego dochodu.

Pomimo jednak tak pięknie spędzonego wieczoru, przyznać jestem zmuszony, że jedną z reform najbardziéj zachwycających mnie w dzisiejszym Paryżu, są rozpowszechniające się tu coraz więcéj stowarzyszenia *wzajemnéj pomocy*, niezaprzeczenie wyższe od wszystkich towarzystw *dobroczynnych*, a składające się z ludzi różnego stanu, a zatém i literatów, artystów i uczonych, których sieroty w zakładzie pani d'Anglars bezpłatne znajdują wychowanie. Same takie stowarzyszenia wyrobników, z których każdy jest obowiązany złożyć co miesiąc do wspólnéj kassy pewną cząstkę swego zarobku, liczą dziś w Paryżu przeszło 340,000 członków; z drobnych ich datków rosną miljony, używane ku wspieraniu w potrzebie tych samych biedaków, którzy je złożyli. Każdy téż wyrobnik garnie się do nich skwapliwie, gdyż korzyści są wielkie, a nieupokarzające; członek takiego towarzystwa pracuje śmiało, swobodniéj oddycha, bo ma za sobą pomoc, którą bez zarumienienia się przyjąć może, jako wypłaconą ze wspólnéj kassy własną cząstkę, bo biorąc te pieniądze, nie dostaje jałmużny, lecz używa prawa, do którego się wkupił nie tylko przez regularne opłacanie swéj składki, ale przez takież same usługi, już oddane, lub mające się oddać współbraciom.

Pierwsze tego rodzaju stowarzyszenia, na których ustawie, w miejscu drażniącego ubóstwa miana *Dobroczynność*, zapisano mile dlań brzmiący wyraz *Wzajemnéj Pomocy*, zawiązały się pod wpływem ewangelicznych zasad 1789 roku. Ale dawniéj, jeszcze nawet za Ludwika Filipa, stały one o własnéj sile, wspomagane wyłącznie składkami swych członków. Rząd protegował je, ale zostawiał im zupełną wolność działania; nie dawał żadnéj pieniężnéj pomocy. Towarzystwa te same sobie pisały ustawy, administrowały swemi funduszami, nie mając innéj nad sobą zwierzchności, prócz wybranych prócz siebie prezesów.

Tak było aż do roku 1852. Dekretem wydanym w Marcu tegoż roku, rząd przeznaczył paryzkim zakładom wzajemnéj pomocy 10 milionów franków subwencji, zachowując sobie prawo mianowania prezesów i potwierdzania ustaw, Nie wszystkie atoli poddały się temu dekretowi; przeszło połowa towarzystw zrzekła się pomocy rządu i została niezależna, stojąc jak dawniéj o własnych siłach.

Są więc dziś dwie kategorje *Towarzystw Wzajemnéj Pomocy*: potwierdzone przez cesarza, przez rząd administrowane i zasilane, i nie potwierdzone, nie pobierające zasiłku rządowego i kierujące się same według dawnéj ustawy. Pierwszych w departamencie Sekwany jest 95; te w ciągu ostatnich lat trzech rozdały około 920,000 franków na żywność, lekarstwa i pogrzeby. Niepotwierdzonych stowarzyszeń jest w Paryżu 275; kapitał ich wynosi blisko 6 i pół miljona franków.

Szybki wzrost towarzystw wzajemnéj pomocy, których ważność codzień lepiéj pojmuje lud paryzki, rokuje rozwiązanie trudnéj kwestji paupe-

ryzmu w sposób najprostszy i najdogodniejszy. Zapisujemy tu fakt ten, jako jawiącą się na zachodnim horyzoncie zorzę lepszéj ekonomicznéj przyszłości, którakiedyś zapewne i u nas zaświeci.

Paryż, d. 21 Października.

*

Rolnictwo, oświata, sztuki i przemysł, starożytnego Meksyku.

Michał Chevalier, członek instytutu francuzkiego, wydał dzieło p. t. Starożytny i nowożytny Meksyk, w którém badacze przemian doli rodu ludzkiego, rozwoju i usterków cywilizacji, znaleść mogą wiele ciekawych i nauczających szczegółów.

Kiedy Kortez z towarzyszami swemi płynął do Meksyku, mniemał że tam znajdzie plemię spokojne, łagodne, wątłe, nie znające sztuk i rzemiosł, które zdoła łatwo ujarzmić. Prędko jednak postradał te złudzenia, doznawszy mężnego oporu ze strony mieszkańców, przy pierwszém wylądowaniu na ląd meksykański. Od zamieszkujących pobrzeża półwyspu Jukatan, dowiedział się przy pomocy zakonnika hiszpańskiego trzymanego przez Jukatanów osiem lat w ciężkiéj niewoli, że w Meksyku mieszkał naród niezmiernie bogaty i potężny, że Astakowie są panującem plemieniem w Meksyku, i że cesarz ich Muntezuma, jest władcą bardzo szanowanym i niezmiernie potężnym, gdyż nie ma krajów i ludzi, nad któremiby nie panował.

Kiedy po raz pierwszy cesarz Asteków dał posłuchanie Kortezowi w swoim pałacu w stołeczném mieście Meksyku, rzekł do niego:

— „Twoi przyjaciele zapewne ci powiedzieli, że jestem podobny do bogów, że mieszkam w pałacach zbudowanych ze złota, srebra i drogich kamieni. Jak widzisz są to bezzasadne wieści. Moje pałace są z kamieni i z drzewa jak mieszkania wszystkich ludzi, moje ciało składa się z kości i z mięsa tak jak twoje. Zaiste, odziedziczyłem po moich przodkach niezmierne państwa, mam obszerną ziemię, złoto i srebro, lecz mimo tego opierając się na starożytném podaniu, uznaję, że twój monarcha panując daleko za morzami, jest prawym panem naszym. A że jesteś od niego przysłanym, podzielę się z tobą i z braćmi twemi wszystkim, co tylko posiadam."

Takie było pierwsze spotkanie się nowego świata z niby ucywilizowaną Europą, a jak na nim wyszedł poczciwy i dobroduszny Montezuma, dzieje to dokładnie wyjaśniają.

Meksyk starożytny daleko był ludniejszym niż jest teraz, w niektórych prowincjach miasta stały jedne przy drugich. Miasto Meksyk liczyło przeszło 300,000 mieszkańców, było daleko obszerniejsze od dzisiejszéj stolicy posiadającéj zaledwie 150,000 ludności. Inne miasta obejmowały po 60,000 i 150,000 mieszkańców.

W listach Korteza, co chwila napotykamy wzmianki o 30,000 do 50,000 żołnierzy meksykańskich, takie zatém nagromadzenie ludzi było najlepszym znakiem rozwoju cywilizacji, rolnictwa i przemysłu, gdyż żeby utrzymać w spokojności takie mnóstwa ludzi, potrzeba postanowień, praw i przepisów policyjnych, potrzeba porządku i roztropności, tych najpierwszych przymiotów trudnéj sztuki rządzenia. To téż rolnictwo było w bardzo kwitnącym stanie u dawnych Meksykanów: kukurydza i banany były podstawą ich pożywienia, z kakao robili czokoladę, któréj nazwisko z ich języka pochodzi; cukier wydobywali z łodyg kukurydzy; uprawiali jalapę i waniliją, na kaktusach hodowali koszenilę, produkowali bawełnę na bardzo wielki rozmiar, palili i zażywali tytoń; z pewnego gatunku aloesu zwanego Magney, wyrabiali ulubiony i upajający trunek pulque, z liści jego można robić papier, z włókien nici, sznurki, liny, jak ze lnu lub konopi; kolce służą dla ubogich za szpilki i goździki, liście na pokrycie dachów, korzeń zaś daje smaczne i posilne jadło.

Znali przytém sztukę nawodniania łąk i pól, z leśnictwem także byli obznajmieni i posiadali surowe prawa wzbraniające wycinania lasów.

Hiszpanie wszystko to poniszczyli, kanały do przeprowadzania wody zaniedbali, a lasy tak wytępili, że teraz w Meksyku brakuje drzewa do wydobywania z kopalni srebra. Pomimo jednak tego bogactwa roślinnego, znacznie wyższego od europejskiego, Meksykanin zupełnie nie posiadali wołów, koni, osłów lub wielbłądów. Mięsnego pożywienia dostarczały im łowy, i pewien gatunek przyswojonego psa, zwanego tuhichi.

Głównym jednak zasiłkiem Meksykanów były indyki, których w gospodarskich podwórzach pałacu Montezumy znajdowało się po kilkanaście tysięcy. To pożyteczne ptastwo domowe, sprowadzono potém do Europy; a że wówczas Amerykę zwano Indjami, przeto dano mu nazwisko niezgodne z jego pochodzeniem.

Przez wdzięczność dla tak bogatéj przyrody, Meksykanie niezmiernie lubili kwiaty, utrzymywali wspaniałe ogrody, gromadząc w nich wszystkie kwiaty odznaczające się wonią, świetnością barwy,

i lekarskiemi wlasnosciami. Wodę do nich prowadzili z dalekich wodociągów i robili z niéj kaskady, albo też napełniali obszerne sadzawki i napełniali je rybami. Tajemne altany kryły się w gęstwinach, posągi stały wśród kwiatów. Rozmaite gatunki zwierząt, które utrzymujemy w naszych naukowych ogrodach, powiększały ozdobę tych miejsc, służących do rozrywki cesarza albo możnowładzców. Tam były ptaki z pięknemi piórami, zamknięte w klatkach wielkich jak domy, dzikie i leśne zwierzęta a nawet i węże. Inną osobliwością były także pływające ogrody po jeziorach. Z powodu szczupłości miejsca a natłoku ludzi Meksykanie robili sztuczne pływające wyspy długie na 80 do 160 łokci a szerokie na 20 do 40 łokci, z pęków sitowia powiązanego z sobą i z gałęzi, które pokrywali warstwą ziemi. Wyspy te służyły do hodowania warzywa i kwiatów, które przedawali na targach. Przytwierdzano je do brzegu żerdziami, albo też je odpychano niemi na drugą stronę jeziora. Widok takich pływających ogrodów, prześlicznemi okrytych kwiatami, zadziwił Hiszpanów, mniemali, że znajdują się w jakiéj zaczarowanéj krainie.

Sztuki i przemysł równie kwitnęły w Meksyku, jak rolnictwo. Zręcznie umieli tkać bawełnę i włókna aloesu; z bawełny robili kirysy a raczéj kaftany których strzała przebić nie mogła; znali różne farby mineralne albo roślinne, użycie koszenili im winni jesteśmy. Wypalali naczynia gliniane, z drzewa wyrabiali miski i łyżki pokryte pokostem. Żelazo którego nie mieli, zastępowali zahartowanym bronzem: zeszkloną substancją mineralną twardszą od szkła cięli na ostro i robili z niego noże i brzytwy do golenia. Témże szkłem kopalném obsadzali końce strzał i włóczni. Z kopalni wydobywali ołów, cynę, miedź, srebro i złoto, umieli wyrabiać kruszce i różne ozdoby. Naczynia złote i srebrne, które Kortez otrzymał w darze od Montezumy były spajane, wyrabiane rylcem, ozdobione rytemi kamieniami i emaljowane ze sztuką godną najcelniejszych europejskich złotników. Z piór ptaków pięknem pierzem pokrytych, sztucznie powiązanych nitkami bawełny, robili tkaniny najrozmaitszych i najpiękniejszych kolorów, bardzo regularnego rysunku, na suknie dla bogatych, na pokrycie ścian świętyń i pałaców. Przemysł ten zajmował wiele rąk, a jego wyroby mocne uczyniły wrażenie w Europie.

Bronią ich były proce, pociski, strzały, piki i miecz długi na 1 i pół łokcia, którym obiema rękami uderzali. Wojsko ustawiało się w kolumny i umiało dosyć porządnie manewrować. Hiszpanie ujrzawszy po raz pierwszy takich przeciwników, mniemali że ich nie tak łatwo pokonają, ale broń palna i widok koni zjednały im zwycięztwo.

Do rzeźby używali porfirów, wyrabiali wiele posągów, ale potwornego kształtu. Ich pałace były obszerne, lecz prawie o samym tylko dole, ściany wewnątrz wykładane wonném drzewem, zręcznie wyrzeźbioném, zewnątrz zaś białym i mocnym tynkiem gipsowym, przez co świeciły się od promieni słońca. Gdy Hiszpanie pierwszy raz ujrzeli miasto meksykańskie, mniemali, że domy są pokryte srebrnemi blachami. Apartamenta możnych ozdabiane były wewnątrz marmurem i porfirem, albo kobiercami z piór utkanemi. Ich świątynie były to wielkie piramidy z cegieł ususzonych na słońcu, albo po prostu usypane z ziemi lecz wyłożone kamieniami. Na ich szczycie były przybytki i wieże ozdobione postaciami bogów. Hiszpanie niezmiernie się zdumiewali nad ogromem tych świątyń i pałaców; Kortez w raporcie do cesarza Karola VIII powiada, że tam pałace wyrównywają najpiękniejszym w Hiszpanji, a gdy późniéj donosił o burzeniu w Meksyku domu po domu wyraził się, iż to czyni z wielkim żalem, bo to miasto jest najpiękniejsze na całym świecie.

W mieście Meksyku co pięć dni odbywały się targi, a na placu na ten cel przeznaczonym otoczonym krużgankami, zgromadzało się po 60,000 ludzi. Utrzymanie porządku w takim tłumie i prędkie załatwianie sporów, są najmocniejszym dowodem wysokiego stopnia ich oświaty. Pieniądze mieli złote i cynowe. Złote były w proszku, nasypane w rurki od piór, cynowe zaś lano w sztukach w formie litery T.

Meksykanie posiadali trojaki rodzaj pisma: hieroglificzny, fonetyczny wyobrażający dźwięk i postaciowy czyli symboliczny. Książki ich składały się z kart jak nasze, ale na nieszczęscie wszystkie spalono. Posiadali także dokładne wyrachowania astronomiczne, tak dalece, że ich rok różni się tylko o 3 minuty i 3 sekundy od kalendarza gregorjańskiego; mieli literaturę historyczną i polityczną, tworzyli ody i pieśni, a miasto Tezeneo odznaczało się szczególném zamiłowaniem nauk. Tamto mówiono najczystszym językiem meksykańskim, tam posyłano młodzież całego kraju na naukę poezji, filozofji moralnéj, teologji, astronomji, medycyny i historji. Ruch literacki i naukowy szczególniéj rozwinął się na lat sto przed przybyciem Hiszpanów, za panowania Nezahualceyotla. Utworzył on zgromadzenie uczonych, które łączyło w sobie czynności administracyjne i polityczne. Królowie meksykańscy byli członkami tego zgromadzenia i zasiadali obok ludzi najoświeceńszych w narodzie. bez względu na ich urodzenie. Była

to razem rada centralna, która albo zakazywała ogłoszenia dzieł, albo téż po ogłoszeniu karała autorów. Za kłamstwo historyczne popełnione rozmyślnie, karano śmiercią, gdy w naszym europejskim świecie, często obsypują złotem! Zgromadzenie to, było nareszcie radą wychowania publicznego, wydawało dyplomata professorom i czuwało nad sposobem nauczania.

Takim był starożytny Meksyk pod względem oswiaty, teraz poznamy go w rozwoju jego historycznéj przeszłości zanim Europa cywilizowanym swym uścisikiem, zrobiła go nędzarzem w pośród chrześciańskiéj społeczności.

(d. c. n).

Nowości Zagraniczne.

Les modes Parisiennes. Ukazały się już nowe kapelusze zimowe, w pierwszych magazynach paryzkich, pośpieszamy więc z opisaniem kilku z nich szczegółowo.

Kapotka dla młodéj panienki atłasowa, miała karczek w nowym zupełnie rodzaju, wycięty u góry w dwa zęby, przytwierdzone do środka główki, lawowemi guzikami; brzeg karczku obszyty był koronką, po lewéj stronie zdobiła kapotkę, egretka czyli kitka ułożona ze wstążki. Podpięcie składało się z blondynki, i z kokardy atłasowéj nad czołem pomięszanéj z trawą.

Drugi kapelusz *Marie Antoinette,* aksamitny, cały gładko obciągnięty, miał brzeg klarowny, nagarnirowany koronką. Na samym środku zdobił go bukiet kwiatów aksamitnych, obejmujący rondo w sposób, że tworzył zarazem i podpięcie. Boki kapelusza nagarnirowane były koronką, która pokrywała także karczek.

Kapelusz aksamitny, z klarownym brzegiem miał karczek ułożony w dwa wielkie fałdy zakończony w formie chusteczki, przytwierdzony w górze kokardą. Pióro strusie otaczało w koło całe rondo, spadając z lewego boku. Z pod pióra wychodziła brzegiem koronka. Podpięcie składało się z koronki ozdobionéj nad czołem liśćmi aksamitnemi. Szarfy były podwójne, jedne ze wstążki drugie z barby koronkowéj.

Przejdźmy teraz do ubrań dziecinnych. Widzieliśmy ładną sukienkę popielatą kaszmirową, obłożoną nad obrębem szeroką aksamitką czarną, po obu stronach aksamitki szło wyszycie z sutaszu. Stanik gładki, miał za główną ozdobę, pas aksamitny, z bawecikiem na przodzie. Rękawy płaskie, ścinane do łokcia, odpowiednio były przybrane. Za okrywkę służyła takaż sama pelerynka okrągła.

Inna sukienka kaszmirowa, obłożona była nad obrębem plisą jedwabną, przepinaną w odstępach klapkami z pasmanterji. Miejsce stanika zastępował kaftaniczek grecki, obszyty pasmanterją. Rękawy wązkie ścięte do łokcia, tak samo przybrane były u ręki.

Sukienka dla chłopczyka z popeliny wełnianéj, miała u dołu plisę jedwabną naszytą sutaszem. Westka z baskiną, przybrana odpowiednio, zastępowała staniczek.

Na okrywki dla dziewcząt używane są powszechnie rotondy czyli burnusy bez rękawów z ciepłego sukna, obszyte frendzlą z wełnianéj szneli.

Kołnierzyki i mankietki webowe ciągle się utrzymują. Widzieliśmy takie kołnierzyki w formie marynarskiéj obszyte walansienką. Rękawek ścięty do łokcia u ręki był wolny, ogarnirowany stosownie.

Uważaliśmy spódniczkę perkalową białą, w nowym zupełnie rodzaju. Od samego paska, układana była w podłużne zakładki, przeszyte do dołu, oprócz odstępu na półćwierci, który tworzył rurkowaną falbankę. Co dziesięć fałdów, wszyta była w podłuż spódnicy haftowana wstawka.

Opiszemy w końcu piękną suknię wenecką, z magazynu Gagelin'a. U dołu naszyta była drabinką z aksamitki, przytwierdzona lawowemi guzikami. Stanik bez bawetu, zakończony był aksamitką. Rękawy wązkie miały u ręki i u ramienia naszycie z aksamitek, stosowne do spódnicy.

Petit courrier des dames. Wyroby szkockie w kraty, czy to z jedwabiu, czy z wełny, tak powszechnie są dziś noszone, że pewną jest rzeczą iż ta moda nie potrwa długo. Zacząwszy od sukien i rotond, aż do spódnic pończoch i wstążek u kapeluszy wszystko noszą w mniejszą lub większą kratę. Dłużéj zapewne przetrzyma się moda pasmanterji, które wyrabiają w rozmaitym rodzaju z coraz większą doskonałością. Najmodniejszy garnirunek, do sukien i rotond, stanowi frendzla sznelowa, jedwabna lub wełniana, lub taśma z grelotkami. Ubierają także suknie wstawkami z pasmanterji lub z koronki wełnianéj.

Na szyję noszą powszechnie krawatki białe z batystu jedwabnego.

Le conseiller des dames. Przytaczam kilka sukienek dziecinnych. Dla 12-letniéj dziewczynki, suknia *poil de chèvre* w białe i czarne paski. U dołu dwie ruszki czarne kamlotowe. Stanik pocztyljoński z kamizeleczką i karoczkiem, oznaczony ruszką czarną Rękawy pół otwarte, wygarnirowane odpowiednio, u dołu i przez środek.

Sukienka popelinowa popielata w czarne paski. U dołu także sama falbanka, objęta plecionką czarną, nad falbanką trzy rzędy takiéjże plecionki. Rękawy nie zupełnie obcisłe, zakończone falbanką i plecionką.

Dla sześcioletniéj dziewczynki. Suknia rypsowa popielata nie odcinana w stanie, naszyta na szwach aksamitką.

Dla chłopczyka 5-cio letniego. Majtki i kaftaniczek z popeliny wełnjanéj popielatéj. U dołu majtek po bokach naszyta jakby chusteczka rogówka z czarnego aksamitu, także rogówka idzie u dołu rękawa. Guziki czarne aksamitne, pasek téż aksamitny.

Journal des jeunes personnes. Kapelusze zimowe będą nierównie niższe od zeszłorocznych. Boki u ronda będą zawsze wązkie i ścięte. Ukazują się już w Paryżu, kapotki czarne atłasowe, pikowane w maszynie, a nawet kapelusze z pluszu fryzowanego, przybrane frendzlą sznelową, spadającą od ronda na podpięcie.

Rękawy wązkie u sukien, zapewne się utrzymają, równie jak kaftaniczki z kamizelkami. Na jesienne suknie ukazują się ładne tkaniny złożone z wełny i jedwabiu w podłużne paski albo w kratę szkocką, kolor czarny lub ciemno popielaty, przyjęty będzie powszechnie. Kołnierzyki webowe stojące, utrzymają się równie jak męzkie mankiety u rękawków. Do ubrania zdobią kołnierzyki płócienne walansienką.

Opis wzorów bielizny.

1 Koszula damska nocna. Przód ułożony w zakładki z tyłu karczek jak u koszuli męzkiéj. Mankiety proste zaokrąglone. Kołnierzyk marynarski.

2 Koszula nocna damska. Przód w zakładki podłużne kołnierzyk złożony z dwóch falbanek, haftowanych. Mankiety odpowiednie do kołnierza, wolne aby ręka przejść mogła.

3 Koszula nocna damska. Kołnierzyk złożony z wszywki otoczonéj z obu stron falbanką, przeciągniętéj z jednéj strony wzdłuż przodu, tak że tworzy żabocik. Mankiety wolne.

4 Koszula damska. Kołnierzyk stojący, złożony z wstawki i falbaneczki. Przody w ukośne zakładki, objęte wstawką z przodu i po bokach. Mankieciki złożone z paska w proste zakładki, pomiędzy dwoma wstawkami u ręki falbaneczka, spięte na dwa guziki.

5 Kaftanik flanelowy pąsowy albo popielaty, dla dorosłych osób, który się nosi dla zdrowia na gołem ciele. Obdziergany wkoło jedwabiem. Białe takie kaftaniki dziergają się biało. Po bokach wcięcia zastosowane do figury. Bywają takież kaftaniki zachodzące więcéj pod szyję z długiemi rękawami.

6 Krawacik muszlinowy haftowany, obszyty walansienką.

7 Paletocik brystolowy, obszyty frendzlą sznelową. Kołnierz i naramienniki z takiejże frendzli.

8 Rękawiczka z mankietem skórzanym gładkim.

9 Rękawiczka z mankietem skórzanym, wyciskanym w rurki. Mankiet podszyty gładką skórką.

10 Kaftanik ranny perkalowy, obszyty takąż samą falbanką.

11 Rękawek półbatystowy, z płóciennym mankietem, z karbowaną falbanką do koła. Guziki lawowe.

12 Rękawek półbatystowy. Mankiet u niego haftowany obszyty falbanką, tworzy klapkę spadającą na dół.

13 Koszula dzienna, w górze układana w drobne podłużne zakładeczki, na zakładkach listewka tworzy zęby, i podwójną drabinkę. Rękawy stosownie ozdobione.

14 Płaszczyk z brystolu. Od boków do przodu idzie peleryna, przybrana pasmanterją, wkoło obszyta łańcuszkiem ze sznurka z wypuszczonemi pętelkami. Rękawy nie zbyt szerokie, ścięte u ręki. Płaszczyk spięty pod szyję na srebrną klamrę.

15 Tenże sam płaszczyk z drugiéj strony.

16 Paletot brystolowy, przybrany w górze pasmanterją, tworzącą pelerynkę zwaną *étole.* Rękawy i kieszenie odpowiednio przybrane. Od ramion spadają sznury, z kwastami. Guziki z pasmanterji.

17 Tenże paletot z drugiéj strony.

Opis formy koszuli nocnéj i kaftanika rannego.

N. 1 Przednia część kaftanika, która zarazem stanowi karczek, robi się z białéj piki i zakończa brzegami falbanką perkalową.—N. 2. Część perkalowa przymarszcza się do karczka pikowego.— N. 3. Połowa pleców.— N. 4. Połowa rękawa.— N. 5. Kołnierzyk. Można także kaftanik tylko falbaneczką przy szyi obszyć.— N. 6. Pasek do którego się rękaw przymarszcza.—N. 7. Mankiet pikowy do kaftaniczka rannego.— N. 8. Całość kaftaniczka.— N. 9. Przednia część koszuli nocnéj wycięta po uszyciu zakładek.— N. 10. Połowa pleców do tejże koszuli. — N. 11. Połowa karczka do nocnéj koszuli z płótna dubeltowego. — N. 12. Rękaw. — N. 13. Mankiet.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołączają się wzory bielizny, oraz opis formy nocnéj koszuli i kaftanika rannego.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 44 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 31 Października 1863 roku.

JAN HALIFAX

POWIEŚĆ Mss MULLOCH

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

— Przedziwnie się zabawimy, odrzekłem: jestem pewien, żebym mógł nawet iść pieszo.

Obecność Janka dodawała mi życia i siły.

— Gdzie pojedziemy, zapytał prowadząc mój wózek w ciasnych ulicach miasteczka.

— Na Mythe, odrzekłem.

Mythe, byłto mały pagórek sterczący nad miastem, na którym pan Brithwood zbudował przed laty dziesięciu bardzo ładny pałacyk.

— Dobrze, odparł Janek, zobaczemy po drodze przypływ rzeki. Wspaniałyż to widok. Woda jeszcze się podnosi, jak mówią; w garbarni nawet sypią tamę, aby ją powstrzymać. Do jakiéj wysokości woda dochodzi tu na wiosnę?

— Nie umiem ci powiedzieć; ale nie zamyślajże się głęboko mój Janku, używajmy lepiéj swobody.

Co do mnie używałem jéj w całem znaczeniu; promienie słońca tak były ciepłe, tak żywotne! Stojąc na moście po drugiéj stronie miasta, oddychałem z rozkoszą, czystym wyziewem podnoszącéj się wody, która spadała z łoskotem przez niedaleki upust.

— Twoja rzeka, zwykle tak błotnista i leniwa, okazałą ma dziś postać, rzekł Janek. Patrz jak się pieni i kipi. Cała łąka zalana jak jezioro, czy widzisz jak słońce w niéj połyska?

— Janku! ty kochasz wszystko co piękne?

— O tak! kocham zawołał z uniesieniem; nie uwierzysz, jaki teraz cudny widok z mego okienka! codzień woda szersze przybiera rozmiary. Patrz tam koło wierzby, z jak gwałtownym spada hukiem.

— My przyzwyczajeni, rzekłem, do co rocznych powodzi w Norton-Bury.

— Czy bywają niekiedy niebezpieczne?

— Bywały dawniéj, lecz ja tego nie pamiętam. A teraz powiedz mi Janku, co robiłeś przez całą zimę?

Opowiedział mi wszystko w kilku słowach. Pracował od rana do wieczora, od poniedziałku do soboty bez wytchienia. Twarda całodzienna praca nie dozwalała mu zajmować się czem innem wieczorami.

— Jakimże sposobem nauczyłeś się pisać i rachować?

— Chwytając każdą minutę i sekundę. Wreszcie poświęcałem na naukę pół Niedzieli. Myśl, że to nie było grzechem.

— Pewno że nie. I jakieżeś książki przeczytał?

— Wszystkie, które miałem z twojéj łaski. Wędrówki pielgrzyma, Robinsona Kruzoe, Tysiąc i jedna nocy. O Jakież to piękne?

I oko jego błyskało radością.

— Nie czytałeś nic więcéj?

— Przeciwnie, i tę księgę, którą mi przysłałeś w wigilją Bożego Narodzenia. Przeczytałem ją do połowy.

— A więc czytasz płynnie mój Janku?

— Dosyć płynnie.

— Ale ty czytujesz podobno wiele, zagadnął: Ojciec twój mówił, żes bardzo uczony, powiedz mi téż jakiemi głównie trudnisz się naukami.

— Ot! nie ma o czem mówić!

Musiałem przecież uledz jego prośbom. Summa moich wiadomości była dosyć mała; spostrzegłem jednak zdumienie na twarzy Janka.

— A ja zawołał z goryczą, umiem zaledwie czytać, a mam już lat piętnaście!

Wyraz wstydu, zniechęcenia i rozpaczy, z jakim wyrzekł te słowa ścisnęły mi serce.

— Nie troszcz się, rzekłem, nie twoja w tém wi-

na, gdzież byś znalazł czas na naukę, mając tyle roboty.

— Ależ ja powinienem się uczyć!

— A więc uczyć się będziesz. Mało umiem, to prawda, lecz nauczę cię tego wszystkiego.

— O mój drogi!

Spojrzał na mnie ze łzami wdzięczności; wybiegł potém naprzód, i powrócił trzymając piękną gałąź głogu.

— Lubisz pręcik głogowy, nie prawda? rzekł.... poczekaj tylkò niech poobieram kolce.

— I szedł koło mnie, obcinając kolce nożykiem.

Przybyliśmy do podnóża Mythu.

— Janku rzekłem, nie wiem czy będziemy mogli dostać się na wierzchołek.

— O czemu nie; będę popychał wózek z tylu; a potém wezmę cię na ręce. Tak piękny widok z Mythu! Zobaczysz zachód słońca, dawno go pewnie nie widziałeś.

Nie mogłem mu odmówić.

Dostaliśmy się wkrótce na wierzch pagórka. U stóp jego płynęła Sawerna, rozlewająca szerokie koryto, po ogromnéj przestrzeni. Za nią siny łańcuch gór, odznaczał się na tle widnokręgu.

— Lubisz Sawernę zapytałem.

— O bardzo! Ale cóż to jest, zawołał, wskazując ręką ku rzece.

Była to massa wody, wysoka na kilka stóp, prosta jak mur, toczącą się samym środkiem prądu.

— To bałwan, widziałem go nieraz na Sawernie, kiedy prąd rzeki spotka się z przeciwnym prądem wód spływających z doliny. Patrz jak się pieni, huczy; jak dzik trapiony obławą. Ztąd téż nazywamy go dzikiem!

— A więc to po prostu wielki bałwan.

— Tak jest, zdarzało się nieraz, że pochłonął i zatopił statek.

To mówiąc spostrzegłem z trwogą łódź z dwoma ludźmi, którzy wszelkiemi siłami starali się dopłynąć do brzegu.

— O nie dopłyną, zawołałem, utoną jak Bóg w Niebie. Patrz Janku.

Już go nie było przy mnie; zbiegł żywo z pagórka, chwytając się trawy i kolczystych jałowców. Dostał się wkrótce na brzeg.

Straszna to była chwila. Bałwan posuwał się groźno, tworząc mnóstwo głębokich wirów, w śród których nie podobna było przepłynąć, zwłaszcza tak małéj łódce. Poznałem na niéj młodego pana Brithwood z Mythe Hause; obok niego był ktoś zupełnie mi nieznany. Obaj poruszali wiosłami z całą siłą. Odsunęli się nieco od środka rzeki, lecz daleko byli jeszcze od brzega. Straszny bałwan pociągał łódź ku sobie.

— Rzućmy się wpław, wołał jeden na drugiego.

Nie było by ich to ocaliło.

— Czekajcie panowie wołał Janek, rzućcie mi linę, a ja przyciągnę łódź do brzegu.

Trudna to była sprawa. Drżę na myśl jak biedny Janek brnął po kolana w wodzie; udało mu się jednak; dwaj panowie wyskoczyli na brzeg, i ocalali. Młodszy z nich próżno usiłował wyratować łódkę. Lina pękła a bałwan porwał ją z wściekłością i pochłonął.

— Szkoda naszéj łodzi rzekł Brithwood.

— Mniejsza o nią, odparł zimno towarzysz, dobrze żeśmy sami ocaleli.

I wchodzili na wzgórek, nie zwracając uwagi na Janka. Nagle starszy z nich obrócił się.

— Któż nas wyrwał z niebezpieczeństwa? czy ty chłopcze?

— Tak myślę, odrzekł Janek, wylewając wodę z butów.

— Doprawdy, mój drogi, wiele jesteśmy ci winni.

— Daj mu pół korony, March, rzekł Brithwood; znam go, on pracuje w garbarni kwakra Tletchera.

— Nie podobna zawołał March, zatrzymując się i poglądając na Janka łagodnie. Powiedz mi przyjacielu, komuż winienem tyle wdzięczności.

— Moje nazwisko Jan Halifax.

— Ale czemże jesteś?

— Tem, czem powiedział pan Brithwood. Pracuję w garbarni.

— Czy tak, odparł March zdziwiony, przybierając dumną postawę.

— A co? czy nie mówiłem kuzynku? rzekł śmiejąc sie Brithwood. No mój chłopcze, ciągnął zmierzywszy Janka od stóp do głów, zmieniłeś jak widzę suknie: czy pamiętasz, jak mój kabryolet o mało nie przewrócił twego wózka ze skórami. Ba przypominam to sobie.

I ja także zawołał Janek groźno.

Powstrzymał się; uśmiech znikł na ustach dumnego młodziana.

— Oddałeś mi ważną przysługę, dodał Brithwood, to mówiąc rzucił mu gwinę, która potoczyła się po ziemi.

— Ryszardzie, pomięszany zawołał towarzysz.

Mój przyjacielu dodał zwracając się do Janka, nie zapomnę nigdy twéj odwagi. Radbym kiedyś wywdzięczyć się godnie. Tymczasem chciéj przyjąć tę drobnostkę.

I wsunął mu w rękę kilka sztuk złota.

— Janek skłonił się, oddał pieniądze, mówiąc

że nie może ich przyjąć. Daremne były nalegania; pan March schował gwincje do kieszeni, poglądając bacznie na Janka.

— Ile masz lat? zapytał.

— Piętnaście.

— Tylko tyle! pamiętaj zowię się Henryk March. Jeżelibyś kiedy potrzebował, udaj się do mnie śmiało.

— Dziękuję panu.

— Bądź zdrów.

Namyślał się chwilę, czy ma podać rękę, lecz Janek udał, że nie widzi tego. Pan March skłonił głową i oddalił się z towarzyszem.

— Chwała Bogu, że sobie poszli, rzekł Janek; odpoczniemy przecie.

Usiadł na ziemi, zdjął mokre pończochy, śmiejąc się z mojéj obawy, aby nie zachorował zprzeziębienia, i z mego gniewu na młodego Brithwood. Uważałem jak kreślił na piasku koła laseczką, którą wystrugał dla mnie.

— Janku, rzekłem, podaj mi laskę, dam ci pierwszą lekcję pisania.

Tymto sposobem laską z głogu zamiast pióra, nauczyłem go kreślić litery, i łączyć je razem. Tak był pojętny, że w mgnieniu oka, nakreślił swoje imie.

— Brawo, zawołał, gdyśmy powracali do domu, dzisiajszy dzień nie przeszedł mi na próżno.

Zatrzymaliśmy się na moście, nad małą rzeczką Awon, patrząc na szybki przypływ. Woda zalała już całą przestrzeń łąk, a widok rozhukanego żywiołu dziwną przejmował trwogą.

— Nie lubię patrzéć na to, rzekł Janek zamyślony, ukazując rząd domów na wybrzeżu. Czy widziałeś już kiedy taki przypływ.

— Zdaje się że widziałem. Ale bądź spokojny, ojciec mówi, że to skutki nagłego roztopu. Nie brak mu przecież doświadczenia, a wreszcie garbarnia leży nad samą rzeką.

— O tém właśnie myślałem, odparł Janek. Chodźmy, zaczyna być coraz zimniéj.

Zaprowadził mnie do drzwi domu, pożegnał się serdecznie i odszedł.

— Kiedyż powrócisz Janku zapytałem.

— Kiedy ojciec przyśle mnie do Ciebie.

Zrozumiałem, że stosunki nasze musiały zależéć od jego wszechwładnéj woli. Janek nie mógł dopuścić się najmniejszego przekroczenia rozkazów.

Ojciec późno powrócił; niespokojny był i zmęczony, mimo że dziewiąta wybiła, nie położył się spać, lecz palił fajkę przy kominie.

— Czy woda jeszcze przypływa, zapytałem. Myślisz ojcze, że garbarnia bezpieczna?

— Co, ty wiesz o garbarni?

— Nie wiem w istocie; tylko Janek Halifax mówił że....

— Twój Janek, lepiéjby trzymał język za zębami.

Umilkłem. Ojciec palił fajkę spokojnie, aż do chwili, kiedy zbliżyłem się życząc mu dobréj nocy. Łoskot moich kul wyrwał go z zamyślenia.

— Gdzieś ty dziś chodził Fineas?

— Na Mythe.

I opowiedziałem mu wydarzoną przygodę. Słuchał mnie z natężoną uwagą.

— Wszakże to było pięknie ze strony Janka, rzekłem.

— Hm.. odparł, wypuszczając z ust parę kłębów dymu; Janek tęgi chłopak, ale nie zajmuj się nim tak bardzo. Pamiętaj że on moim sługą, a ty synem, moim jedynym synem.

Biedny ojciec, ileż on cierpiał, że miał takiego jedynaka!

W nocy usłyszałem kołatanie do drzwi wchodowych. Sypiałem na dole w małym pokoiku naprzeciw wielkiéj sali. W kilka minut zpostrzegłem przechodzącego ojca; ubrany był zupełnie; w jedném ręku trzymał latarkę, w drugiéj cóś innego; sądziłem że pistolet; przed dziesięciu laty, ukradziono mu znaczną summę, a sprawca uszedł kary, prawo bowiem nie przyjęło świadectwa Tlechera jako kwakra. Odtąd téż ojciec miał się na ostrożności.

Kołatanie coraz było gwałtowniejsze.

— Kto tam? zawołał ojciec.

Odebrawszy odpowiedź, otworzył drzwi od sieni. W parę minut potém ktoś wszedł do mego pokoju.

— Fineas, czy spisz? nie lękaj się.

Poznałem od razu głos Janka.

— Cóż się to stało? zapytałem, czy garbarnia w niebezpieczeństwie?

— Tak jest, woda ciągle wzbiera, przyszedłem po ojca twego, teraz jeszcze możem wiele ocalić.

— Jestem tu panie! zawołał odpowiadając na głos z drugiego pokoju. Połóż się, dodał ciszéj, noc zimna. Daj mi słowo, że nie wstaniesz, będę czuwał nad ojcem twoim.

Odeszli i nie powrócili do rana.

Długo mieszkańcy Morton-Bury, pamiętali, okropną powódź owéj nocy 5 Lutego 1795 roku. Woda pozrywała wszystkie mosty, poniszczyła domy, pozalewała ogrody i pola. Mało kto zginął, ale niejeden utracił całe mienie. W przeciągu sześciu godzin, spełniło się dzieło zniszczenia. Potém woda zaczęła opadać.

Czekałem niecierpliwie powrotu ojca z Jankiem. O świcie ujrzałem ich w progu.

— Ojcze, drogi Ojcze! zawołałem wyciągając ku niemu ręce. Wcale mnie nie odtrącił.

— Wcześnie wstałeś mój synu, ranek zimny rzekł, ogrzej się przy kominie.

Głos jego był słodki, twarz blada, co się rzadko u niego zdarzało.

— Ojcze zapytałem, co ci jest?

— Nic mój synu; tylko podobało się Stwórcy odebrać mi część darów swoich. Jestem jak drudzy mieszkańcy miasteczka, uboższy o kilka tysięcy liwrów.

Usiadł. Wiedziałem, że przywiązany do swych pieniędzy; zebrał je z niemałym trudem! ale nie spodziewałem się, żeby zniósł stratę z taką spokojnością.

— Nie troszcz się ojcze, nieszczęście mogło być jeszcze większe.

— Tak jest; byłbym utracił wszystko, gdyby.... ale gdzież ten chłopiec?... Czemu stoisz za drzwiami. Chodź Janku, zamknij za sobą.

Janek wszedł, lecz nie śmiał przystąpić. Zmaczany był, drżał cały od zimna.

— Ogrzéj się rzekł ojciec łagodnie.

Janek zbliżył się parę kroków, stałem pomiędzy nim a ojcem, nie śmiejąc zapytać co zaszło, ale mogłem poznać z postawy starca, z ożywionych rysów Janka, że niebezpieczeństwo musiało być niemałe.

— Joanno, zawołał ojciec dajże nam śniadanie, mnie i temu chłopcu; przebyliśmy ciężką noc.

Joanna przyniosła chleb ser, i szklankę porteru.

— Daj drugi talerz, dodał zimno ojciec.

— Chłopiec może iść do kuchni; przygotowałam mu śniadanie.

Ojciec zmarszczył brwi. Joanna miała nad nim władzę; ale na ten raz uczucie sprawiedliwości przemogło.

— Kobieto, czyń jak każę. Przynieś drugi talerz i drugą szklankę porteru.

Tym sposobem, z wielkiem oburzeniem Joanny, i nie mniejszą moją radością, Janek siadł po raz piérwszy do stołu pana swego. Był to wypadek na zawsze pamiętny w naszym domu.

Po śniadaniu, gdyśmy jeszcze siedzieli przy kominie, ojciec wyliczył mi poniesione szkody i wyznał, że gdyby nie ostrzeżenie w porę, byłby wszystko utracił.

— Jakież to szczęście, że Janek przybył rzekłem nieśmiało.

— Tak, wielką mi uczynił przysługę. To stara głowa na młodych barkach.

Pochwała ta uszczęśliwiła go nad wyraz.

— Chłopcze, zapytał ojciec, nagle tknięty podejrzliwą myślą. Co robiłeś o jedenastéj wieczór, zamiast spać spokojnie po pracy?

Janek zarumienił się. Ojciec spostrzegł jego pomięszanie.

— Odpowiadaj, na ten raz przebaczę wszystko.

— Jak się panu podoba, odrzekł śmiało Janek. Nie robiłem nic złego, byłem w garbarni.

— A cóż tam miałeś do czynienia?

— Nic. Zostałem przy stróżach. Mieli światło, ja go nie miałem, a nie chciałem iść spać téj nocy.

— I czemuż to nie chciałeś iść spać, pytał badawczo ojciec.

Janek wahał się, i zaczerwienił znowu.

— Opowiem więc jak było, rzekł po chwili, nie miałem przecież złych zamiarów. W moim wieku nie umiem jeszcze pisać, a syn pański był tak łaskaw wczoraj, że mi pokazał jak kreślić litery. Otóż aby nie zapomnieć, kreśliłem je kredą na ścianie. To przecież nikomu nie szkodziło.

— Czyś wszystko wyznał, zagadnął ojciec.

— Wszystko.

Starzec zamyślił się głęboko. Janek i ja rozmawialiśmy półgłosem, aby mu nie zrywać biegu myśli. Wypalił całą fajkę; był to jedyny zbytek, jakiego sobie pozwalał.

— Janie Halifax, rzekł na koniec.

— Jestem panie!

— Czas abyś poszedł do roboty.

— Idę natychmiast. Czy pan nie ma nic do rozkazania.

I stał trzymając w ręku kapelusz. Któryż by pan nie chlubił się z takiego sługi?

— Janie Halifax powtórzył ojciec, wielką uczyniłeś mi przysługę téj nocy. Czemże ci ją nagrodzę?

To mówiąc włożył rękę do kieszeni.

Janek odstąpił parę kroków.

— Dziękuję panu, rzekł odchodząc, dosyć mi na tém, żem był pożyteczny memu panu, i że sam to uznaje.

Ojciec zastanowił się chwilę, potem podał rękę Jankowi.

— Masz słuszność, wdzięczny ci jestem, nie zapomnę tego nigdy.

Janek zarumienił się z radości, i odszedł dumny jak król, albo jak nędzarz, którýby odkrył minę złota.

— Czy możesz mi powiedzieć spytał ojciec, coby najwięcéj uszczęśliwiło Janka?

(d. c. n.)